ROZMAITOŚCI.

Dnia 16 stycznia, Nro 3. roku 1847.

ZŁOWROGIE PTAKI.

(Ciąg dalszy.)

Przebrakowawszy ośmdziesiąt Murzynów i dwadzieścia Murzynek, doliczono wreszcie setkę, o jaką Placido z królem Piotrem był się ugodził. Z pół tuzina niewolników odrzucił Mulat jako niezdatnych.

„Daj pięć strzelb, a weź sobie wszystkich!" — rzekł król Piotr do Placida.

»Ani jednego kurka od strzelby nie dam" — odpowiedział tenże ozięble. »Kiedy chcesz, dam ci po tabakierce za każdą z tych trzech kobiet."

„Daj cztery tabakierki!" — zachérczał król Piotr. Mulat przystał. Wyprawiono Murzynki do łodzi. Placido wpisał je w puilares, jako zakupione. Zostało jeszcze trzech nędznie i chorowito wyglądających mężczyzn.

»Daj dwie tabakierki za tych trzech!" — zawołał król murzyński

„Ani niucha tabaki!" — odparł Placido, składając puilares.

»A za trzy kieliszki rumu, nie weźmiesz?" — zapytał król Piotr, odwodząc kurek u strzelby.

»Czy-bym oszalał!" — rzekł Placido. „Wszakto tylko strawa dla hajów morskich."

Lotem błyskawicy przyłożył król Piotr strzelbę do twarzy, wystrzał zagrzmiał, a jeden z niewolników padł trupem.

Ema odwróciła się ze zgrozą, i chciała coprędzéj do mieszkania swego, uciec.

»Zostań pani!" — rzekł Devereux, spoglądając gniewnie na Placida „Królu Piotrze! Ja tych dwóh ludzi wezmę. Puść ich! Przyślę ci za nich flaszkę wódki."

Królik murzyński spojrzał z zadziwieniem na kapitana, wydał kilka dzikich chrypliwych głosów, poczém zdjęto widła z Murzynów, którzy niebawem pośród tłumu zniknęli

»Serdecznie panu dziękuję za ten czyn ludzkości" — rzekła Ema uprzejmie do Devereux'a, gdy oboje razem do domu powracali. „Jestto zaiste błogiém uczuciem, módz tak łatwo życie ludzkie ocalić."

„Zanadtoś pani łaskawą" — odpowiedział towarzysz Emy. Nie zasługuję wcale na tę wdzięczność, gdyż uczyniłem to jedynie, aby ci nieprzyjemnego widoku oszczędzić; ale dla nich samych byłoby daleko lepiéj gdyby król Piotr był ich zastrzelił. Niepodobieństwem jest bowiem, aby wrócili do dom przez lasy, nie stawszy się pastwą dzikich źwierząt; a będąc chorymi, nie znajdą nigdzie przytułku, chyba że ktośby na to tylko ich przyjął, ażeby ich znowuż w niewolą przedał. Jak pani mówię: nie warto o tém wspominać."

Głos jakim Devereux te słowa wyrzekł, miał w sobie coś nadzwyczajnie zimnego i nielitościwego; ztémwszystkiém była w tém tak rzetelna prawda, iż Ema nic na to odpowiedzieć nie mogła, i tylko jakieś przykre uczucie w niéj pozostało. Wkrótce zgadano się o osobliwszém spotkaniu się Maheny z swoim małżonkiem, o gwałtownem wzruszeniu obojga w piérwszéj chwili, a oziębłości, która potém nastąpiła.

„Możesz, pani ztąd przekonać się o słuszności moich zapewnień" — mówił Devereux — „gdy utrzymuję, iż Murzyni są dziećmi. Piérwsze, chwilowe wrażenie jest u nich wszystkiém; jak prędko ich co zachwyci, tak prędko też i obojętnieją. Taż sama kobiéta, którąś pani namiętnie w objęcia małżonka padającą widziała, dopuściłaby się za lada cacko najobrzydliwszéj niewierności, a małżonek, jeżeliby jéj w piérwszém oka mgnieniu za to nie zabił, w następném, jużby jéj przebaczył. Témże dziwniejszą jest rzeczą, iż o ile szlachetne uczucia zbyt powierzchownie i przemijająco w ich serca się wrażają; złe skłonności nadzwyczajnie długo i głęboko się w nich krzewią. W témteż najbardziéj okazuje się ich źwierzęcy charakter, a ich zawziętości należy się zawsze jak najmocniéj wystrzegać. Niech więc panią nie zadziwia, iż Mahenie wszelkiego znoszenia się z jéj mężem, najsurowiéj zabronię, aż dopóki do Kuby nie zawiniemy, i że ona przeto każdego razu w kajucie pozostanie, gdy on jak to na okręcie niewolniczym codziennie przez godzinę się dzieje; wraz z innymi Murzynami na pokład wypuszczonym będzie. Bezpieczeństwo okrętu nie

pozwala odstępować na krok od tych środków ostrożności, które jakkolwiek zbytecznémi się zdają, są przecież nieodbicie potrzebne. Mój interes, nawet życie moje, nakazują mi największą ostrożność, a wiadomo pani" — dodał z gorzkim uśmiéchem — »iż własne gardło i własna kieszeń, są to dwie rzeczy, których ludzie najtroskliwiéj pilnują."

Te słowa, równie jak poprzednie, wywarły na Emę przykre wrażenie, lubo nie mogła odmówić im słuszności. Wreszcie oznajmiła panna Vansittart kapitanowi zamiar udania się z nim w podróż, i wspomniała, iż pan John Smith prosił ją, aby się o téż samą łaskę u kapitana za nim wstawiła. Oświadczenie Emy przejęło kapitana nadzwyczajną radością; zaledwie zaczęła o tém mówić, już się rysy twarzy jego widocznie rozweseliły. Na wzmiankę o kupcu, Johnie Smith, zamilkł na chwilę, zaczął rozważać, i już się Ema lękała, iż będzie zmuszoną zanieść swemu towarzyszowi podróży odpowiedź zaprzeczającą, gdy niespodzianie Devereux oświadczył jéj, iż przyzwala na jego prośbę. „Pan Smith" — rzekł on — »jest wprawdzie nudny i nieznośny gadnła, a w Hawannie, pewniebym zdaleka go omijał, lecz na okręcie niewolniczym, jakikolwiek towarzysko-ukształcony człowiek, jest prawdziwym skarbem, a w końcu — potrafię jeszcze i z niego niejaką miéć korzyść."

Te ostatnie słowa ukrywały widocznie dwuznaczność, gdyż wymawiając je, roześmiał się głośno, a wyraz twarzy jego okazywał jakiś tajemniczy zamiar.

Już dnia następnego przybyło owych dwustu Murzynów, których król Bonny miał dostarczyć. Spędzono ich jak trzodę owiec wraz z wczorajszymi przybyszami do szop, zbudowanych naprędce po tamtéj stronie rzeki, a wkrótce potém oświadczył Devereux Emie i panu Smith, aby byli gotowi, wsiąść każdéj chwili na okręt. Dopiéro teraz oznajmiła panna Vansittart kapitanowi Hobson powzięte postanowienie. Ten wysłuchał ją spokojnie, i upomniał, aby dobrze rozważyła, co czynić zamyśla. Zabójczy klimat tutejszego wybrzeża grozi wprawdzie im wszystkim niebezpieczeństwem życia; lecz co do niego, postanowił on wziąć się z towarzyszami do pracy, i zbudować statek, którymby do najbliższéj portugalskiéj osady zapłynąć mogli. Jeśli się tam nie nadarzy sposobność odjechania do Cap-Coast, tedy, jak to większa część europejskich urzędników w Nowej-Bengueli dla przetrwania dżdżystéj pory czyni; uda się o kilkadziesiąt mil w głąb kraju, i będzie tam tejże sposobności oczekiwał. Jestto wprawdzie bardzo uciążliwym i długotrwałym zamysłem; lecz przecież zamysłem bezpiecznym. Przeciwnie podróż na okręcie niewolniczym, połączona jest z wielkiém niebezpieczeństwem. Przypuściwszy nawet, iż Devereux nie jest jednym z najgorszych handlarzy niewolnikami; przecież sątu w ogólności zawsze najniemoralniejsi ludzie, po których wszystkiego obawiać się należy, a którzy tylko osobistą wiedzeni są chciwością. Kupczący niewolnikami, bywa zazwyczaj małoco lepszym od rozbójnika morskiego, dopuścił się już, jak i ten, niejednego występku, a przeto podobnie zbójcy morskiemu, walczy z powrozem u szyi, i mniema, że mu na wszystko ośmielić się wolno. Nadto, na statku niewolniczym trzeba się jeszcze przygotować na możebność śmiertelnéj zarazy lub buntu Murzynów, lub wreszcie na spotkanie się z krążącym statkiem wojennym. Gdyby jednak Ema — tak zakończył kapitan Hobson swoje uwagi — niezmiennie przy powziętém raz postanowieniu pozostać chciała; tedy wyda jéj świadectwo, które w razie wzięcia okrętu przez statek krążący, może jéj posłużyć do usprawiedliwienia się, w jaki sposób na ten okręt się dostała. Zresztą, uwiadomi on sam kapitana Devereux o téj okoliczności, i oświadczy mu, iż czuje się być obowiązanym, zrobić go odpowiedzialnym za bezpieczeństwo Emy.

Panna Vansittart podziękowała panu Hobson za okazaną jéj troskliwość, lecz oznajmiła mu oraz, iż powzięła niezmienny zamiar odpłynąć okrętem niewolniczym, o ile iż sama myśl bawienia przez kilka miesięcy na tém nieszczęśliwém wybrzeżu, bez wszelkiéj nadziei ukrócenia sobie téj niewoli, niewymownym wstrętem ją zdejmuje. Przeciwnie nadzieja zjechania się w tak rychłym czasie z kochankiem, jest dla niéj tak pożądaną, iż ją chętnie wszelkiém niebezpieczeństwem okupić gotowa.

Zdaje się, iż Hobson jeszcze tegoż samego dnia z Devereux'm mówił, gdyż spotkawszy się z Emą, namienił tenże z uśmiéchem, że kapitan Hobson zapewne wiele sobie pracy zadawał, aby pannę Vansittart w jéj postanowieniu zachwiać, malując jéj w najczarniejszych kolorach niebezpieczeństwa, na jakie się naraża. Ztémwszystkiém, śmiało jéj zaręcza, iż tylko jedno niebezpieczeństwo zdarzyć się może, którego on bynajmniéj przed nią nie tai, to jest: niebezpieczeństwo spotkania się z okrętem przeciw kupczeniu Murzynami krążącym. Wszakże i pomiędzy témi jest tylko j e d e n, którego sił on nie zna, ale nawet w razie spotkania się z tym jednym, ma on przecież środki, w różny sposób je udaremnić. "Na każdy wypadek" — dodał, spoglądając przed siebie wzrokiem pełnym srogiéj dzikości — »prędzejbym się tym orężem na wskróś przeszył, niżbym go dowódzcy tego okrętu oddał."

We dwa dni późniéj, gdy gwałtowny wschodnio-południowy wiatr, który przeszło 24 godzin nieustannie wichrzył, zaledwie się nieco uciszył, wszedł Devereux późnym wieczorem do izby Emy.

»Przygotuj się pani do odjazdu" — rzekł, usiadając na chwilę. „Skoro wezbranie morza ustanie,

co razem ze świtem zajdzie, odbijam od brzegu. Burza wrzała okropnie; morze toczy wzdęte wały; żaden krążący statek nie może o dwadzieścia mil ku wybrzeżu się zbliżyć. Następnéj nocy minę przy pomyślnym wietrze miejsca, w którychbym się z niémi mógł zdybać, a kiedy one znowuż ku ujściom rzéki podpłyną; my już tymczasem przed niémi wolną drogę miéć będziem. Dopiéro w pobliżu Kuby, należy znowu miéć się na ostrożności.»

Pomyślne wróżby odjazdu, rozweseliły kapitana; rozmawiał jeszcze przez chwilę, żartując z obawy Emy, a wkońcu rzekł, iż za dwie godziny wyprawi po nią łódź na rzékę.

W przeciągu tego czasu pożegnała się Ema z kapitanem Hobsonem i resztą towarzyszy, którzy ją i pana Johna Smith, aż ku ujściu rzéki odprowadzili.

Księżyc jeszcze świécił na niebie, lecz już dniéć zaczynało.

„A co, czyż wam nie powiedziałem” — ozwał się sternik ze śmiéchem — „że ich bryg wcale odmienne lice przybierze? Przed dwoma dniami był jeszcze od stóp do głów czarnym, a teraz spojrzyjcie jeno, jak go te wisusy omalowały. W owym białym smugu, który cały bryg spodem otacza; najbystrzejsze oko nie dostrzegłoby na sto kroków luk działowych, tak szczelnie klapy przypierają; a natomiast wyrznięto na złudę kilka dziur okrągłych, dla małych działek, jakto u handlowych okrętów zazwyczaj bywa. — Aha!” — dodał po chwili. „Chcą być Północno-Amerykanami! Zdjęli lwa z galijonu, a wystawili tam z pękiem strzał figurę wolności w czapeczce! Jeźli się nie mylę, tedy stoi tam napis: »*Liberty*» — „*Boston*” jako firma brygu.»

Podczas gdy sternik jeszcze mówił, Ema podała Hobsonowi w pożegnanie rękę, a pan John Smith wstąpił z nieco trwożném obliczem do łodzi. W kilku minutach byli już oboje na pokładzie okrętu, gdzie Devereux bardzo uprzejmie ich przyjął, podczas gdy sennor Placido, zaledwie z ławki się ruszył, na któréj lulkę kurząc spoczywał. W téj chwili zaskrzypiała winda kotwiczna, a bryg niewolniczy pomknął zwolna wzdłuż rzéki w morze.

Dopokąd nie przebyto mielizn przybrzeżnych, na których wały z ogromnym łamały się łoskotem; stała Ema ciągle na pokładzie, zwrócona ku lądowi; lecz gdy wpół-zgruchotany tułów „Kondora” znacznie w tyle już pozostał, a bryg na wyższém morzu, przy gwałtowném rozkołysaniu się bałwanów, to wznosił się to spadał, i mnóstwo żagli po obudwóch masztach się rozwinęło; spojrzała dziewica ciekawie wokoło siebie. Na tylnéj części okrętu, gdzie zwyczajnie mniejszy jest pokład; stały dwa nabite sześciufuntowe działa, aby w razie zachcenia się Murzynom trochy buntu, jak Mulat szyderczo się wyrażał; cały pokład kartaczami pogłaskać można. Na środku okrętu był otwór, w który po schodach zstępowało się do ciemnicy niewolników, zawsze zamkniętéj. Tam, na osobliwszéj ruchoméj podstawie, spoczywały dwie dwufuntowe krótkie armatki, dające się obracać. Były one, jak Placido opowiadał, śrótem nabite, i do tego przeznaczone, aby w potrzebie, przez otwarte drzwi do ciemnicy Murzynów ognia dać można. Stało tam na straży dwóch majtków, którzy uzbrojeni krótkiémi pałaszami, równie jak większa część czeladzi, zbyt dziko i zuchwale wyglądali. Po załatwieniu głównych rozporządzeń, mianowicie należytego skierowania żagli dotyczących; zwrócił się Devereux do Emy, i wskazał przeznaczoną dla niéj kajutę. Byłto nadzwyczajnie mały, ale dość dogodny pokoik, w którym Emie wcale zacisznie i przyjemnie się wydało Master John zaś otrzymał mieszkanie w pobliżu schodów, podobne raczéj do ciemnego lochu niż do kajuty, które on też, lubo tylko w nieobecności kapitana, w porównaniu z pokoikiem Emy, budą dla psów nazywał. Gdy panna Vansittart za pomocą Maheny w swoim przybytku dość mieszkalnie się urządziła, a okręt przy silnym wietrze, swobodnym po morzu pomykał lotem; wszedł Devereux do pokoiku Emy, pytając; czyby nie chciała obejrzéć miejsce pobytu Murzynów.

»Muszę pani najstraszniejszą rzecz najpiérw pokazać» — rzekł w żarcie — »może późniéj reszta mniéj okropną się wyda.»

Ema postrzegła, iż Devereux miał dwa dwururkowe pistolety za pasem, a széroką szablę przy boku. Tudzież Placido, i cała czeladź okrętowa, byli mocno uzbrojeni.

Skoro tylko drzwi do ciemnicy otworzono, a Ema wraz z panem Johnem, za kapitanem do środka weszła; uderzyła ich gorąca, parna zaducha, podobna do zagaru gwałtownie rozpalonego pieca; zarazem dał się słyszéć okropny brzęk łańcuszków. Dziwny też widok odsłonił się przed Emą. W podłużnéj przestrzeni, zajmującéj prawie trzy czwarte części okrętu; siedziało albo leżało w dwóch długich rzędach, trzystu Murzynów. Opiérali się oni plecami o boki okrętu, nogi zaś były wyciągnięte ku środku, tak, iż między obudwoma rzędami zostawał długi wolny przedział. Za pomocą łańcuszków na nogach, było zawsze po dwóch Murzynów ze sobą skutych Nadto miał każdy na szyi żelazną obróżę z uchem, przez które przewleczony był długi łańcuch, przezco zawsze pewna liczba niewolników z sobą spętana była, lecz dość swobodnie ruszać się mogła. Na twarzach większéj części malowała się głucha rozpacz, albo głupia, zwierzęca ztępiałość. W wolnym pomiędzy obudwoma rzędami przedziale, siedziało kilkadziesiąt niespętanych kobiét, i kilkoro dzieci. Te ostatnie bawiły się dość wesoło, lecz za nadejściem białego towa-

rzystwa, pochowały się trwożnie poza matki. Tymczasem czarny, murzyński majtek przeszedł kilkokrotnie tam i nazad pomiędzy obudwoma szeregami, zatrzymując się gdzieniegdzie, i w jakiejś dziwnie niedźwięcznéj, pełnéj gardłowych brzmień mowie, z niektórymi Murzynami rozmawiając,

„Jeden umarł, co wczoraj chory" — rzekł przystąpiwszy do kapitana.

»W morze" — odpowiedział tenże ozięble.

Podczas gdy Ema z towarzyszami środkiem ciemnicy szła naprzód, usłyszano znowuż brzęk łańcuchów, a kilku Murzynów wyniosło trupa jednego z swoich braci na górę.

»Tu jeden pokąsał" — rzekł majtek, i wskazał na skrwawione ramię Murzyna, pokąsanego przez sąsiada.

„Pięćdziesiąt!" — odrzekł ozięble Devereux.

Jęk boleści, który wkrótce potém rozległ się na pokładzie, wytłumaczył Emie znaczenie owego słowa.

„Widzisz pani" — ozwał się kapitan z lodowatą obojętnością, zdając się nie dostrzegać przerażenia, jakie z twarzy dziewicy przemawiało — „o ile kłamliwe są wszystkie wieści, które o urządzeniach okrętów niewolniczych rozsiewają Podług tych wieści, miewa każdy niewolnik tylko pięć stóp wzdłuż, dwie wszérz, a cztéry wzwyż miejsca dla siebie. Wszakże u mnie może każdy podług upodobania rozciągnąć się, dość wygodnie leżéć na plecach, a stojąc, prawie nie potrzebuje się zginać, gdyż wysokość bez mała pięć stóp wynosi. Na niektórych okrętach, dla oszczędnego zużytkowania każdego zakątka, nawet i ten wolny międy rzędami przedział, bywa zapchany niewolnikami, lecz ja zachowuję go zawsze dla kobiét i dzieci."

Emie wydała się ta mowa najsroższą ironiją, lecz dość było spojrzéć na twarz kapitana, aby się przekonać, iż on to szczérze mówi.

„Co zaś gorąca się tyczé..." mówił dalej.

„Ach, jest ono prawie do niewytrzymania" — przerwała mu Ema, obzierając się ku drzwiom.

»Sądzisz pani? — Mnie się nie zdaje. Jestto owszem właściwa temperatura murzyńska. Wybornie ona im służy" — rzekł Devereux spokojnie. „Zapewne, gdyby luki zamknięto!" — Tu wskazał kapitan kilka otworów kratami zaopatrzonych w powale. „Lecz to się nigdy nie dzieje, gdyż w pół godziny wszystkoby tu trupem padło, a żaden rozsądny człowiek, nie chciałby sobie takiej szkody wyrządzić. Nawet podczas najsroższéj burzy bywają te luki od chwili do chwili otwierane, chociaż i wtedy nie obejdzie się bez szkody, Zamknięcie luk jestto już „*ultima ratio*," używana tylko w razie najniebezpieczniejszego buntu, kiedy już nic innego nie pomoże, a nawet głos dział i działek, wrzawy przekrzyczéć nie zdoła."

Ema wzdrygnęła się. Krew uderzyła jéj do głowy. Ozwała się do kapitana, iż chce wyjść z ciemnicy.

„Przekonasz się pani" — rzekł tenże do niéj w powrocie — »iż niewolnikom wcale nie źle na tych okrętach. Daje się im jeść, pić, a nawet i o rozrywce ich nie przepomniano. Wszelka zaś ich rozrywka składa się z dwóch tylko rzeczy: z tańca i próżnowania. Próżnować, jak pani sama to widzisz, mogą oni tu do woli; a do wytańczenia się pozwalam im codziennie dwie godziny. Ba, zmusiłbym ich nawet do tego, gdyby sami nie chcieli, gdyż po pierwsze, jestto zdrowo, że codziennie świéżem powietrzem odetchnąć mogą, a powtóre, unużywszy się należycie, wracają tém ochoczéj do próżnowania, nie drapią się i nie kąsają pomiędzy sobą, a przytém złe myśli do głowy im nie przychodzą. Senor Placido obliczył, iż w dnie, kiedy dla nawalnego morza i potrzebnych natenczas obrotów żaglowych, nie można wypuszczać ich na pokład; pięć razy więcéj niż zwykle ekscesów pomiędzy nimi się zdarza, a śmiertelność trójnasob się powiększa."

Podczas gdy Devereux w najprościejszy sposób tak mówił, zdało się Emie, jakby mroźna powłoka lodu wokoło jéj serca się kładła. Gdyby te słowa z ust Mulata wychodziły, byłoby to może mniej ją dziwiło. Ten, od urodzenia do handlu niewolnikami włożony, uważający ich jedynie jako towar, na którym zarobić lub stracić można; byłby się jéj daleko mniéj odrażającym wydał, niż człowiek, który swojém pochodzeniem, barwą lica, mową, obejściem się; do wcale innéj klasy społeczeństwa należał. Jakiejżeto zatwardziałości na cierpienia ludzkie, jakiego wyzucia się ze wszelkich uczuć serca, potrzeba było, aby podobnie jak ten człowiek, samym tylko widokom pieniężnym zostawić władzę nad sobą! — A przecież! nie okazałże się jéj ten człowiek od pierwszéj chwili zaznajomienia się przyjaźnym i pomocnym? Nie starałże się wszelkiemi sposoby o jéj bezpieczeństwo i wygody? Jakiż osobisty interes mógł go do tego skłaniać? — Nie byłato chęć zysku, gdyż dawał jéj kilkokrotnie do zrozumienia; iż nie żąda od niéj za przewóz opłaty; nie byłato też miłość, gdyż ani słówko, któreby choć zdaleka ku temu zmierzało, przez usta jego nie przeszło; owszem gdy pan John Smith jednego razu powziął myśl, bawić się w uczucia z Emą, nazwał go poza oczy, „gapiem" i „sentymentalnym błaznem." Również i potrzeba światłego, towarzyskiego obcowania, nie pobudzała kapitana. Rozmowa jego toczyła się po większéj części wyłącznie około zysku i straty przy handlu niewolnikami. Tylko wtedy, gdy mowa była o grze, lub o zakładach przy walce kogutów w Kubie, jedném słowem, kiedy mowa była o pieniądzach; ożywiał

on się widocznie. Jeżli natenczas wymknęło się Emie zdanie: iż są jeszcze inne rzeczy w świecie i w życiu, które wyżéj nad pieniądze cenić należy; wtedy odpowiadał z uśmiéchem, że nieraz już wprawdzie podobne zdania wymawiane słyszał, lecz mało kiedy widział, aby kto uczynkami te zdania ziszczał; zkąd wnosi, iż pieniądze są jedynym bodźcem, jakim wszyscy bez wyjątku, świadomie lub nieświadomie, powodować się dają. Im więcéj tedy Ema się zastanawiała, co przy tym sposobie myślenia mogło kapitana do tak przyjaźnego zajęcia się jéj losem skłonić; tém mniéj umiała sobie z tego zdać sprawę Obchodził on się z nią zawsze równie uprzejmie, i nic nie objawiało w nim jakiegokolwiek, w złéj lub dobréj myśli, względem niéj powziętego zamiaru, prócz zamiaru być jéj użytecznym.

Tak mijał dzień po dniu. Każdego poranku schodził Devereux z Mulatem, z majtkiem służącym za tłumacza, i kilką innymi majtkami do ciemnicy niewolników, aby obejrzéć, czy wszystko jest w porządku. Zazwyczaj wymierzano natenczas jakąś karę, rzucano trupa w morze, a wreszcie wypuszczano czwartą część Murzynów na pokład, gdzie oni przy odgłosie piszczałki i tamburynu tańczyć musieli. Gdy się piérwszy oddział niewolników całogodzinném skakaniem dostatecznie unużył, wypocił, i znowu ochłódł; wyprowadzano z kolei drugi, trzeci i czwarty oddział. Ema nie widziała przy tém żadnego szczególnego pastwienia się nad Murzynami, ani też nadzwyczajnych środków ostrożności, prócz tego jednego, iż drzwi w otworze do ciemnicy, były przez cały ten czas zamknięte, a kilku majtków z zapalonémi lontami przy działach stało.

Małżonek Maheny wychodził zawsze w piérwszym oddziale na pokład, a Ema na prośby swojéj służącéj, i za pozwoleniem kapitana, częstowała go tam każdego razu, małą szklanką rumu. Czarny olbrzym przyjmował to zawsze z niejaką uprzejmością, a bystry wzrok jego zdawał się mówić, iż wié on dobrze, komu tę łaskę zawdzięcza Mahena zostawała w kajucie, ile razy Tarki, tak się zwał jéj małżonek, z resztą Murzynów był na pokładzie; surowo bowiem przestrzegał kapitan, aby wydany dla niéj rozkaz niewidywania się z mężem, ściśle był zachowanym. Stosunek Maheny do męża, a oraz do kapitana, zdawał się Emie, równie jak wszystko na niewolniczym okręcie, nadzwyczajnie zadziwiającym. Mahena nie wyglądała bynajmniéj smutną, zmartwioną, ale owszem była wesołą, jakby na wolności, w ojczyźnie. Nie zapomniała ona nigdy napomknąć swojéj pani o szklance rumu dla męża, lecz zakaz widywania się z mężem, znosiła bez wielkiéj przykrości. Dla kapitana okazywała się Mahena zawsze bardzo uległą, i zdało się nawet niekiedy, iż między nimi bardzo poufny stosunek zachodził; a przecież jednego razu, gdy kapitan z kajuty Emy się oddalał, porwała wściekle nóż w obecności Emy, i zamierzyła się nim za plecyma kapitana, jakby go przebić chciała. Na zapytanie Emy: co to ma znaczyć? — zaśmiała się z całego gardła, i wybiegła czémprędzéj za drzwi. Zachowanie się jéj przypomniało Emie częste twierdzenie kapitana, iż Murzyni mają wielkie podobieństwo do swawolnych, a nawet złośliwych dzieci.

Dotąd odbywała się podróż pomyślnie przy najpiękniejszéj pogodzie i pożądanym wietrze. Upłyniono już dwie trzecie części zamierzonéj drogi, i można już było prawie obliczyć dzień, kiedy okręt do portu Kuby zawinie. Podobnież niezmienném było postępowanie Devereux'go, jak i Mulata. Ten ostatni robił sobie często rozrywkę, drwić z pana Johna Smith, który z natury zabobonny, a przygodą z kurkami matki *Carey*, jeszcze bardziéj w mniemaniu swém utwierdzony, opowiadał nie mało okropnych zdarzeń na morzu, mianowicie historyję o upiorowém zjawianiu się „latającego Holendra". Wszystkie te wypadki, za najświętszą prawdę przez pana Smith przyjmowane, były zawsze jakiémś przeczuciem, jakimś znakiem tajemniczym, długo naprzód przepowiadane. Wiele takich przygód miało się, podług opowiadania pana Johna, jemu samemu przydarzyć; resztę słyszał on wszystkie od zacnych i wiarogodnych ludzi. Devereux, który w ogólności, naszego kupca bardzo lekce ważył, nie odzywał się wcale przy jego opowiadaniach, i zaledwie szyderczym zaszczycał je uśmiéchem; natomiast Mulat miał wielkie w tém upodobanie, durzyć pana Johna ile możności. Nie tylko iż udawał, jakby wierzył to wszystko, co John Smith opowiadał, lecz owszem sadził się na to, aby wszystkie jego powieści najwierutniejszémi przesadził kłamstwami, o których jednakże pan John wcale nie powątpiéwał. Szczególniéj zmyślał Mulat dziwotworne podania o czarodziejskich sztukach *obimanów*, czarnoksiężników murzyńskich, a pan John przysłuchywał się chciwie tym baśniom. Działo się to powszechnie po obiedzie; a podczas gdy Devereux z Emą oddawna już byli na pokładzie, sennor Placido siedział jeszcze z kupcem przy butelce madery, i kleił mu niesłychane duby. Łgał on niekiedy tak bezczelnie, iż okazywała się potrzeba, przywoływania Maheny na świadectwo, a co Emę nie mało zadziwiało, Murzynka zawsze z najuroczystszą powagą potwierdzała kłamstwa Mulata, mówiąc: »Tak, wszystko prawda!«

Zbliżono się wreszcie o jakich ośmdziesiąt mil ku wyspie Kuba; a jednego razu, po wielorakich obliczeniach i obserwacyjach, przyszedł kapitan w dość złym humorze na śniadanie. „I cóż, panie Smith"— rzekł szyderczo do kupca. „Jeźli chcesz wyjść na pokład, możesz tam dawne znajome ujrzéć. Kurki matki *Carey*, znów nadleciały."

Pan Smith struchlał ze strachu; co widząc Mulat, nie mógł omieszkać sposobności zażartowania z niego, i zaczął go na miłość Boga zaklinać, aby nie strzelał do ptaków; na co tenże, nie poznawszy się na żarcie, zaprzysięgał święcie, iż raczéj sam w siebie śrótem wystrzeli, niż te mściwe zwierzątka zaczepi.

Devereux, niezadowolony niewczesnémi żartami Mulata, oświadczył, iż rzeczywiście na burzę się zanosi, która wcale mu nie jest ne rękę, ponieważ może go zagnać w okolicę, gdzie angielskie wojenne statki krążą; gdy przeciwnie, przy pomyślnym wietrze, z łatwościąby ich uniknął.

Podczas gdy kapitan i resztę osób przy śniadaniu jeszcze siedzieli; pan John Smith nie był w stanie uspokoić się. Chciał on koniecznie obaczyć, czy owe złowrogie zwiastuny burzy, jeszcze nad okrętem szybują. Wymknął się więc niepostrzeżony na pokład, i — o, biada! ujrzał je w istocie, zupełnie tak rojne, wesołe, gwarne i blizkie, jak owego dnia nieszczęsnego u *Capo-Negro*! Pan John Smith westchnął głęboko, ważąc w myśli wszystkie niebezpieczeństwa, jakie znowuż mu grożą. Wtém uczuł się lekko przez kogoś po ramieniu uderzonym. Byłato Mahena, stojąca tuż za nim.

»Wielka burza niebawem!« — ozwała się, wskazując palcem ku czerniejącym od zachodu chmur masom. »Ale nie byłoby burzy, gdyby Tarki chciał.«

»Co mówisz!« zawołał pan Smith zdziwiony.

»Tarki wielki *obiman*, wielki kapłan fetyszów; może zrobić, aby nie było burzy.«

»Na miłość Boga, Maheno, pobiegnijże i powiedz to kapitanowi, niech go tu zaraz przywołać każe!« — prosił kupiec.

»Tarki nic zrobi, jeźli kapitan powié; zrobi, jeżli ja powiém« — odrzekła Murzynka. »Lecz ja go widzieć nie mogę. Czary nie pomogą, jeźli kapitan o nich się dowié.«

»Wielki Boże! Niemaż więc żadnego sposobu!« — mówił błagalnym głosem pan Smith.

»Tarki musi przynieść ofiarę morskiemu fetyszowi;« — ozwała się zcicha Mahena, wyciągając kawałek chleba, na którym różne dziwne znaki wciśnięte były. »Dać to potajemnie Tarkiemu, a wtedy wszystko dobrze; nie będzie burzy; albo burza nic nie zaszkodzi.«

»Dam, dam« — rzekł pan John, chwytając chléb, i chowając go do kieszeni.

»Kiedy *miss* Ema Tarkiemu szklankę z rumem poda, uda *master* John, jakby jadł chléb, i da go Tarkiemu.«

»Dobrze, dobrze!« — odpowiedział kupiec uradowany. »Ale — byłoby jeszcze lepiéj, gdyby *miss* Ema, podając mu szklankę z rumem, dała mu wraz i ten chleb; toby jeszcze mniéj w oczy wpadło.«

»Nie, to być nie może! Musi koniecznie sam *master* John. *Miss* Ema nie wierzy w *obiman*'ów« — odpowiedziała Murzynka. »Lecz muszę odejść — aby nikt o tém nie wiedział!«

I spiesznie zbiegła po schodach do kajuty.

»Jeźli nie pomoże, to też nie zaszkodzi! I dla czegożby nie miał ten czarny drągal odprawić swoje gusła z tym chlebem?« — mówił kupiec sam do siebie. »Jeźli to prawda, co Placido opowiadał, tedy jestto fraszką dla takiego *obiman*'a czyli kapłana fetyszów zakląć burzę. — Ach, Boże, Boże! Chmury zgęszczają się coraz czarniéj, a te przeklęte ptaki, tłumią się coraz rojniéj! — Nié ma co zwlékać, oddam chléb Murzynowi, niech sobie tam czary wyprawia, co mu sił stanie!«

»Wyprowadzić pierwszy oddział Murzynów!« — zawołał Devereux, wychodząc na pokład. »Wszakże niech tym razem tylko pół godziny skaczą, aby wszyscy zawczasu znowuż na spodzie byli. Po południu doczekamy się zapewne małéj burzy.«

Wkrótce rozpoczęła się codzienna rozrywka, czyli raczéj codzienna praca taneczna niewolników. Devereux był właśnie rozmową z Mulatem zajęty, gdy Ema, jak zwyczajnie, Tarkiemu szklankę rumu podała. Pan Smith pochwycił tę sposobność, przystąpił do Murzyna, i wtykając mu kawał chleba w rękę, rzekł: »Od Maheny! Dla fetysza!« Murzyn spojrzał na chléb. Postrzegłszy jednak wyciśnięte na nim znamiona; schował go prędko za przepaskę, biodra opasujące, a potém spoglądnął kolejno na pana Smith, na kapitana, wreszcie na Emę. Duże jego oczy toczyły się tak szybko i trwożnie w swoich jamach, iż można było postrzedz, że się stara upewnić, czy go ktoś nie uważał. Przekonawszy się o tém, poskoczył z radośnym krzykiem, zaczął śpiewać, i wraz z innymi Murzynami po pokładzie dziko podrygiwać.

Bądź że się kurki matki *Carey* pomyliły, bądź że gusła Tarkiego tak skutkowały; dość na tém, że nie było burzy dnia tego. Zdawało się, iż gdzieindziéj wybuchnęła, gdyż morze z okropnym szumem falowało, a wiatr się zwrócił. Ta ostatnia okoliczność była niepomyślną dla kapitana, który zdawał się być niespokojnym i w kwaśnym humorze. Ema słyszała, jak Devereux następnéj nocy częstokroć wstawał, i na pokład wychodził. Tudzież przy śniadaniu, które wszyscy zazwyczaj razem jedli, był bardzo małomownym. Jeszcze towarzystwo w kajucie kapitana siedziało, gdy wbiegł sternik.

»Jakiś żagiel od strony wiatru!« — rzekł z pośpiechem. »Tułów jeszcze pod widokręgiem.«

»Nie zmieniajcie nic w narządzie! Zaraz tam wyjdę!« — zawołał Devereux, chwycił dalowid, i pobiegł za sternikiem.

Również i całe towarzystwo wyszło na pokład.

Obcy okręt znajdował się w odległości kilku mil morskich. Devereux patrzył nań długo przez dalowid.

»Może bryg europejski; może też okręt krążący!« rzekł, kładąc dalowid na stronę.

Wszyscy mieli oczy w daleki okręt zwrócone, gdy majtek wiszący u szczytu wielkiego masztu, nagle wskrzyknął:

»Obcy okręt zwrócił się ku nam, i więcej żagli rozwinął.«

Kapitan chwycił znowuż dalowid, i patrzył.

»W samej rzeczy« — rzekł po chwili ponuro do Mulata — »podał się wiatrowi, i płynie w naszym kierunku. Uchylimy się o kilka staj, rozwiniem także więcéj żagli, i weźmiemy się z wiatrem wschodowym.«

»Będzieto zapewne bryg handlowy, płynący z Europy do St. Domingo« — nadmienił Placido.

»Być może; ztémwszystkiém lepiéj mieć się na ostrożności« — odpowiedział kapitan, i wykonano zlecony obrót.

Zaledwie kilka minut minęło, a majtek ozwał się znowuż.

»Ho, kapitanie!« krzyknął z masztu. »Obcy okręt rozpiął wszystkie żagle, i zdaje się, że nas ściga.«

»Zmęczymy go na śmierć!« zawołał Devereux, patrząc znowuż przez dalowid. »Rozwinąć wielki żagiel!« ozwał się natychmiat donośnym głosem. »Nie ma się co łudzić: jestto statek krążący.«

Majtkowie słuchali z nadzwyczajną gotowością wszelkich rozkazów. Rozpięto wszystkie żagle. Pod ich naciskiem przechylił się okręt na bok, iż prawie do połowy w wodzie leżał. Fale morskie biły grzmotnie o przód okrętu, i roztrzaskując się z szumem po ścianach bocznych w tuman iskrzących się pyłków, sprawiały obłok wodnego dymu, słońcem opromienionego. Niekiedy szybkość, z jaką okręt pruł fale, tak nim wstrzęsła gwałtownie, iż w całym swym składzie zatrzeszczał okropnie, i prawie na chwilę nieruchomo w biegu stanął.

Mimo to okazało się za pół godziny, iż obcy okręt o wiele się zbliżył. Tułów jego był już całkiem widoczny. Devereux przypatrywał mu się długo bardzo uważnie.

»Jestto krążąca korweta wojenna« — rzekł z zimną krwią do Mulata. »Nie ma ona dział więcéj od nas, lecz przechodzi nas siłą żagli. Nie możemy już rączéj płynąć, gdyżby się maszty połamały, albo oddalibyśmy statek zatopieniu, a przecież na długość liny kotwicznéj, niezyskalibyśmy przezto na odległości. Więc go zwieść sprobujmy. Jeżli się nie powiedzie— ba! to będzie trzeba armatami z nim pogadać.«

Poczém kazał Devereux jeden żagiel po drugim zwinąć, a obcy okręt coraz bardziéj się zbliżał. Tymczasem przygotowano wszystko do boju, lecz ani luk nie otworzono, ani łańcuchów do baczenia nie wywieszono, słowem, nic nie czyniono, coby ze statku krążącego mogło było za środki obrony być uważanem.

Obcy okręt, przed kilką godzinami ledwie oku widzialny, zbliżył się teraz w odległości dwóch strzałów działowych. Niósł na sobie ogromną piramidę z rozdętych żagli, które jak skrzydła łabędzie po prawéj i lewéj stronie po nad tułowem się zwieszały. Trwożnie poglądała Ema, jeszcze trwożniéj pan Smith na kapitana. Ten sponurzał jak noc, wzrok mu pociemniał, brwi zmarszczyły się....

»On-to! Tak, on-to niezawodnie!« odmrukiwał Devereux sam do siebie. »Nie ma tu innego statku krążącego w tych przestrzeniach, któryby nas tak szybko mógł był doścignąć.«

Tymczasem obcy okręt wyprzedził cokolwiek bryg niewolniczy, a potém razem zwrócił się przodem ku niemu.

»Patrzcie jak śmiało w oczy nam zagląda!« rzekł kapitan. »Wkrótce on zagada do nas.«

Teraz wzniosła się bandera angielska na obcym okręcie, i zagrzmiał strzał działowy, pod wiatr wymierzony.

»To korweta oośmnastu działach! Nasze siły są sobie równe! No, ten jeszcze nie tak rychło do nas się dostanie« — ozwał się Devereux do Mulata, nie troszcząc się o wystrzelone hasło. Ema przelękniona łoskotem działowym, chciała spiesznie zejść do kajuty.

»Zostań pani! — Proszę, zostań, i wyjdź owszem na przód pokładu, aby cię postrzeżono!« — rzekł kapitan szybko do Emy. »Chciałbym, aby widziano, iż mam pasażerów na pokładzie.«

Wnet zagrzmiał drugi wystrzał, a kula przemknęła w niewielkiém oddaleniu. Devereux obrócił się, skinął, a naraz gwiaździsta bandera Zjednoczonych Stanów północnéj Ameryki podniosła się w górę i rozwinęła się pysznie nad pokładem okrętu niewolniczego.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 2gi i zawiéra: 1) Napoleona Raciborskiego słówko dla właścicieli gorzelń. 2) Wincentego Pola rzut oka na Galicyję (z kartą téjże). (Ciąg dalszy). 3) Przegląd dzieła: Chemija rolnicza, z przedmową K. G. pod tegoż kierunkiem, sposobem popularnym wyłożona przez Wł. G. (Ciąg dalszy). 4) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 2gi i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Najnowsze powieści polskie. Przez J. Dobrzańskiego. 2) Epilog. Przez K. Ujejskiego. 3) Ona była niewinna. Przez Wład. Zawadzkiego. (Ciąg dalszy). 4) Kronika literacka. 5) Kronika muzyczna. 6) Teatr.

Wzrost ludności państwa Rosyjskiego. Ze wszystkich państw europejskich, państwo Rosyjskie, podług doniesień pism niemieckich, najszybciéj w ludność się wzmaga. Liczba jego mieszkańców pomnaża się corocznie o półtora procentu, przezco w przeciągu lat 47, podwoić się musi. Jakoż potrzebuje Rosyja takiego wzrostu, mając tyle ziem, które tak mało są zaludnione. W. Brytanija z Irlandyją wzmoże się w drugie tyle ludności dopiéro za lat 50, Prusy za lat 60, Austryja za 85, Francyja za 100; lecz co do obecnego stosunku ludności, jest np. Anglija 30 razy ludniejszą niż Rosyja, gdyż podczas gdy w Anglii na 1 milę kwadratową 5820 mieszkańca liczą, ma Rosyja na takiéjże samej saméj przestrzeni ledwie 160 ludności. Jednakże Rosyja europejska jest jeszcze daleko ludniejsza, niż azyjatycka.

X. Paramelle, objawiacz źródeł. Pleban francuzkiéj wioski Connac, doszedł sposobu wynajdywania źródeł. Nabył on tak rzadkiéj wprawy w téj sztuce, iż dość mu przejść się raz po okolicy; aby wskazać, gdzie się woda znajduje, i jak głęboko kopać należy. Każdy kto sobie życzy mieć źródło w pobliżkości, udaje się do tego nowego Mojżesza, któ-

ry podobnie jak ów żydowski, tam nawet źródła odkrywa, gdzieby się ich nikt nie spodziéwał. Jużto blizko 20 lat trudni się ks. Paramelle tą użyteczną sztuką, objawia co roku tysiące źródeł, i prawie nigdy się nie myli. Czyni on to wszystko wpółdarmo gdyż ledwie 10 — 15 fr. za każde źródło bierze. Za jego staraniem ma teraz cała uboga niegdyś w wodę okolica, w której on mieszka, równie jak i dalsze departamenta, najzdrowszą wodę źródłową. Wszelako jak każdy śmiertelny człowiek, tak też i ten mąż dobroczynny, nie może uniknąć przeciwników. W pewném miasteczku odkrył ks. Paramelle na żądanie, obfite źródło, lecz rada miejska uznała, iż źródło to nie jest źródłem. Gdy prefekt księdzu Paramelle o tém oznajmił, odpisał tenże: »Mojém zdaniem jestto źródło, i radzę zbudować studnię. Jednakowoż nie trzeba zmuszać nikogo, aby ztamtąd brał wodę; kto jéj nie chce, może pominąć studnię i pójść daléj z bydłem do wodopoju.«— Ten przycinek skutkował, zbudowano studnię, a teraz nawet woły i osły piją z nowego źródła. Ks. Paramelle ma założyć szkołę, w któréj za trzy miesiące, każdego sztuki swojéj wyuczyć przyrzeka.

B r e w i j a r z p o l i t y c z n y. Pomiędzy książkami księcia Talleyranda znajdowała się także jedna bardzo wielkiéj wartości, lecz niepokaźna na oko, przezco też przy publicznéj licytacyi wcale jéj nie sprzedano; byłto egzemplarz »Książęcia« przez Machiavelli'ego, z własnoręcznémi przypiskami Talleyrand'a. Przeciwnicy jego nazywali tę książkę »politycznym brewijarzem starego dyplomaty.«

D o r o b k i e w i c z e w A m e r y c e. Dnia 14. listopada r. z. umarł w Nowym-Jorku niejaki pan Astor, który wyszedł z ojczyzny, z nad Renu, jako dziecko żebrackie, handlujące zapałkami, a zostawił przy śmierci 40 milijonów dolarów majątku.

P a c h n i d ł a d o m o w e. Może czytelniczki nasze następnego przepisu robienia sobie bardzo miłego wonidła nie znają. Umaczać delikatną bawełnę w najczyściejszéj oliwie, i ułożyć ją w wazie, w kilku warstwach, przeplatanych warstwami kwiatów jaźminowych. Po kilku dniach udzielą kwiaty wszelką swoją woń bawełnie. Wycisnąwszy więc oliwę, otrzymuje się bardzo przyjemną perfumę, którę w butelce przechować można, a bawełna, trzymana w szufladkach i w garderobie, miłą wszędzie woń rozszérza.

N o w y s p o s ó b z a r o b k u. W zaszłym miesiącu stał przed sądem w Paryżu stary człowiek, oskarżony przez znanego hałaburdę o przeszkodzenie mu w zamiarze pomszczenia orężem doznanéj obelgi. Obżałowany, siwy starzec, przyznał się do winy, i rzekł: »Zapobiegam ja wszelkim pojedynkom, o których się tylko dowiém; jestto moim zarobkiem. Mam już lat sześćdziesiąt, a tylko 600 frank. rocznego dochodu. Jestto dosyć, aby z głodu nie umrzéć, ale za mało, aby z tego dobrze wyżyć. Służyłem przez całe życie w wojsku, i potrzebuję nieustannego zatrudnienia. Przeto chodzę sobie codziennie od godziny 6 do 9 zrana po lasku Bulońskim, i godzę wszystkich, którzy tam w celu rąbania lub strzelania się przybywają. Jakoż mogę sobie dać świadectwo, iż nie jednemu już nieszczęściu zapobiegłem, przy czém zarabiam sobie wyborne śniadanie, i zyskuję licznych przyjaciół, gdyż bądź co bądź, zawsze ludzie szanują tych, którzy ich od głupstwa odwodzą, a chociaż jestem starym żołnierzem, powiadam przecież, iż pojedynki są największém głupstwem, z głupstw wszystkich.«— Jak się samo przez się rozumié, sędzia nie uznał za występek wstrzymywać ludzi od pojedynków, a stary żołnierz odszedł wolny od kary.

A r c y d z i e ł o s z t u k i s t o l a r s k i é j przygotowuje się na następną wystawę przemysłową w Paryżu. Jestto damski stolik toaletowy, który zarówno doborem materyjału, jakoteż wytwornością roboty niemałą zapewne swemu majstrowi, niejakiemu panu Blanchard, sławę przyniesie. Całość, odznaczająca się prawdziwą artystyczną kształtnością, składa się z przeszło stu najkosztowniejszych, misternie z sobą spojonych gatunków drzewa wszystkich okolic świata. Tę mozaikę drzewową zdobią nadto arabeski z klejnotów i z wszystkich kruszców szlachetnych, które razem bardzo szacowny zbiór minerałów tworzą. Jeźli powierzchowność świetnością i mnóstwem przecudnych ozdób zadziwia, tedy i wnętrzne urządzenie nie mniéj zdumiewa. Sztucznie ukryty zégar wskazuje nie tylko pory dnia, lecz oraz główne astronomiczne wyrachowania w ciągu roku. Za każdym kwadransem daje się słyszéć krótka muzyka na harmonice stalowéj. Szufladki na przybory, na pachnidła, listy, są jak najwytworniéj ozdobione, i zmyślnie po wszystkich zakątkach poumieszczane. Arcydzieło to ma być przeznaczone dla haremu pewnego książęcia wschodniego, i całym też przepychem wykonania, jak i ceną swoją, odpowiada zupełnie smakowi azyjatyckiemu.

P r z y g o d y m y ś l i w s k i e. Pewien myśliwiec, chcący koniecznie dla swojéj kochanki zająca ubić i w darze jéj zasłać, był tak niefortunnym, iż nie mógł nigdy zejść się z szarakiem, któryby mu miejsca dotrzymał: każdy wprzód pierzchnął, nim się do niego złożył. Zasmucony tém niepowodzeniem, wracając do domu, spostrzega chłopaka, który pojmanego żywcem zająca karmił. »Ej, poczciwcze, czybyś mi go nie sprzedał?« pyta myśliwiec. — »Czemuż nie, jeźli dobrze mi zapłacicie« — odpowiada chłopak, i targ w targ, sprzedaje szaraka. Ale myśliwiec, który nie chciał przynieść z sobą źwierzyny żywéj, złożył czémprędzéj sąd doraźny, i skazał na śmierć zająca. Przywiązano więc nieboraka za skoki sznurkiem do drzewa, myśliwiec cofnął się o pięć kroków, i wypalił. Wszakże o cudzie! śrót nie ubił zająca, lecz przeciął sznurek, którym był przywiązany, a kot kopnął się w las, i zniknął. — Inna smutniejsza przygoda zdarzyła się témi czasy na Szlązku. Tam lis myśliwca zastrzelił. Pewien chłop, dowiedziawszy się, iż lis wpadł na polu do studni, udaje się z nabitą strzelbą na miejsce. Żałując jednak naboju, a osobliwie podziurawić futro, postanawia lisa utopić, i chcąc go zanurzyć, trąca go kolbą w wodę. Lis broniąc się, chwyta się strzelby, dosięga cyngla, pociska go przypadkiem, strzelba wypala, a chłop pada trupem przy studni.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.